I-szy ZBIOREK POEZJI ROBOTNICZEJ

WARSZAWA

1922

I-szy ZBIOREK POEZJI ROBOTNICZEJ

I^szy ZBIOREK POEZJI ROBOTNICZEJ

WARSZAWA 1922
NAKŁADEM SCENY I LUTNI ROBOTNICZEJ. SKŁAD
GŁÓWNY W SPÓŁDZIELNI KSIĘGARSKIEJ „KSIĄŻKA"
KRUCZA 26

ZAKŁADY GRAFICZNE PRACOWNIKÓW DRUKARSKICH
Sp. z ogr. odp.
WARSZAWA, NOWOLIPIE 11. TELEFON 242-40.

SPIS RZECZY

Str. 25, 26, 27, 28 niema w niniejszej książce.

PRZEDMOWA

Wypuszczamy w świat pierwszy zbiorek polskiej poezji proletarjackiej, niepozorną dla oka wiązankę utworów, pisanych przez samych robotników — wypuszczamy w chwili, gdy robotnik polski bardziej, niż kiedykolwiek, garnie się do światła wiedzy, do krynicy Piękna, gdy swą zdolność twórczą ujawnia we wszystkich niemal rodzajach piśmiennictwa pięknego. Nie zna on żadnych „Skamandrów“, „Krokwi“ i „Ponów“, obce mu są usiłowania ekspresjonistów, rondystów, dadaistów, futurystów: nie kombinuje na chłodno, nie szuka echa u własnego rymu, ani u żądnej sensacji publiczki paskarskiej. Pisze—ot dlatego, że pisać musi,

że nadmiar żywotności, energji pierś mu rozsadza, pisze dla tych, którym każde nowe słowo będzie pobudką do czynu, bodźcem dla woli przekształcania świata. Nie drażni nerwów, lecz przeorywa dusze; nie igra z sobą, lecz płynie na fali wielkiego ruchu społecznego, czuje się jego cząsteczką, chce wciągnąć ospałych w bieg prądu, przyspieszyć go, dobić jaknajprędzej do nowego lądu.

Oto istota rewolucyjności poezji robotniczej. Nie chodzi przecież o zwroty i hasła najbardziej „podżegające“, najjaskrawiej czerwone, najgłębiej przepojone „nienawiścią klasową“. Ileż to takich agitacyjnych nawoływań rymowanych, pisanych również przez robotników i chłopów, kursuje w niezliczonych odpisach po miastach i wsiach, po najodleglejszych zakątkach, dokąd nie dosięgną miecze Damoklesowe wyroków prasowych. Jeżeli ich jednak tutaj nie umieszczamy, to nie ze względu na wrażliwość klasową przeciwników tego rodzaju utworów, jeno gwoli ukształceniu wraż-

liwości artystycznej, samychże robotników, by potrafili odczuć różnicę między utworem poetyckim, a rymowaną proklamacją, lub rozwlekłą gawędą „społeczną“.

Stąd też pochodzi, że musieliśmy dokonać bardzo starannego wyboru, kierując się zasadą: „lepiej mało utworów, byleby miały wartość“. Wszak pragniemy zachęcić robotników do rzetelnej twórczości artystycznej, do streszczania się w dzwonnych, spiżowo zwartych słowach, nie zaś do zapisywania papieru niewybrednemi rymami, chcemy usłyszeć od nich nowe, potężnie brzmiące śpiewy, nie zaś melodje na ograną już nutę Konopnickiej, Ady Negri, Markowskiej, Savitri, Staffa, Verhaerena!

Dodajemy jednak do poezji oryginalnych również szereg tłomaczeń utworów robotników amerykańskich, niemieckich i rosyjskich. Czynimy tak po pierwsze dlatego, że uważamy za swój obowiązek zapoznać czytelników naszych z próbami twórczości dusz bratnich z tej i tamtej półkuli i uświadomić im w ten sposób, że

pęd, który wkłada robotnikowi pióro do ręki, nie jest przypadkową tylko zachcianką, jeno zjawiskiem głębszem, ogólniejszem; po drugie zaś i z tej przyczyny, że robotnik polski znajdzie w tych poezjach ów pierwiastek, którego brak jeszcze własnym jego utworom, mianowicie rytm warsztatni, tętno pracy wielkoprzemysłowej, warkot kół maszynowych — słowem „znamię fabryczne“, nie jako piętno przekleństwa, lecz jako świadectwo łączności z pracą zbiorową, dowód umiłowania „żelaznych grzmotów, pełnych tryumfu tonów stali, kamienia i lawy... i brawurowych dźwięków hymnu maszyn i ognia niespokojnego, buntowniczego“. Znajdzie tam również odgłos przyspieszonego biegu życia wielkomiejskiego. Jak dotychczas jest polska poezja robotnicza wyłącznie niemal poezją skargi, poezją walki, poezją tęsknoty za życiem pełniejszem, piękniejszem, szlachetniejszem (za wyjątkiem poezji T. Skrajczyka, pisanych zresztą jeszcze przed wojną). — Oby jaknajrychlej zabrzmiały w niej „że-

lazne grzmoty", oby napełniła ją wrzawa placów i ulic, oby się słowem stała, *poezją pracy i miasta*. Doda to jej tylko mocy, uczyni to ją prawdziwie robotniczą, wyodrębni ją całkowicie z t. zw. „poezji społecznej". A więc vitant sequentes! (niech żyją następcy!)

TOW. RECHNIEWSKIEMU

CZEŚĆ WAM!

Iżeście, walcząc dla wielkiej sprawy,
szli podziemnemi szlaki bez sławy,
żeście obsieli ziarnem zagony,
nie wiedząc, kiedy wzejdą Wam plony,
żeście ginęli, pełni nadziei,
z wiarą w zwycięstwo świętej Idei —
cześć Wam!

Cześć Wam za trudy, męki i znoje,
za Wasze troski i niepokoje;
za długie, ciężkie lata więzienne,
żywot wygnańczy — i sny płomienne —
cześć Wam!

A gdy zaszumią złociste kłosy,
rozdzwonią wokół ptaszęce głosy,
krwawo płonących maków narwiemy,

szarfą szkarłatną kwiecie zwiążemy,
i na wyklętych grobach szaleńców
złożymy roje ognistych wieńców,
a miast żałobnych pieśni muzyki,
w górę potężne wzniesiem okrzyki:
cześć Wam!

w styczniu 1918 roku.

DO WIĘŹNIÓW!

O, gdybym ja mogła
zerwać te kajdany,
co już wieki chyba
cisną waszą dłoń,
I wolność wam wrócić
i zaleczyć rany,
i wyrwać te ciernie,
co wam ranią skroń!...
O, gdybym mogła!...

O, gdybym ja mogła
siłą złamać kraty,
które dziś was dzielą,
od ludzi, od świata...
i nie pozwalają

wrócić wam do chaty,
do pracy i walki
do matki i brata...
O, gdybym mogła!...

O! gdybym choć mogła
przesłać wam te słowa
tę słowa pociechy,
że nadejdzie czas
Zmartwychwstania ludów,
że pęknie okowa —
że znów walczyć będziem
i zwyciężać wraz!...

NA CZARNEJ LIŚCIE

Wyszedł z fabryki z twarzą ogorzałą,
stanął i wsparł się o ścianę.
Powtarzał sobie litanję całą
co w fabryce miał powiedziane:
„Za to, żem prawdę zaświadczył w warsztacie
mają me dzieci mrzeć z głodu?
za to, że innym płacę podwyższacie
w miarę dochodu?“
Za strajk roboty zabrakło w fabryce

precz iść kazano. Dla dzieci
nie chciałem prosić! szedłem na ulicę,
a śmierć głodowa mi świeci".
Stał chwilę jeszcze, jakby skamieniały
pot otarł z czoła, z westchnieniem
szedł dalej! ręce mu drżały,
a wzrok się palił płomieniem.
„Co dnia szukałem pracy. Toć mogę
chociażby za lon głodowy“.
— „Na czarnęj liście! idż z Bogiem“.
A silny był, młody i zdrowy.
Miesiące szły, nie miał na życie
gospodarz na bruk wyrzucił,
poszedł, jak zwykle, o świcie,
dzieci zostawił — nie wrócił!

O ZIEMIO!...

O ziemio, matko i karmicielko,
co piersią żywiłaś rzesze,
pojrzyj na klęski, słysz skargę wielką!
Przekuto w miecze lemiesze,
ciało twe kruki szarpią na ćwierci,
mordów ofiary kryje twe łono,
trzewia twe pocisk śmiertelny wierci —
w pustynię cię przemieniono!

Ziemio! ty jedna bądź sprawiedliwa,
nie ukryj mordów, zbrodniczych czynów,
oskarż przed światem, choć jesteś matką,
oni — jednemi z twych synów!
Powiedz: już nie chcesz dłużej ukrywać,
zbrodnia przed światem będzie jawiona!
Do zemsty ludy będziesz ty wzywać,
wulkany wyrzucisz ze swego łona!
Jawisz zwiastuny, proroki,
których nikt wstrzymać nie zdoła.
Głos ich poleci hen — tam pod obłoki;
wiatr echo rozniesie, jak świat jest szeroki,
do życia nowego powoła!

O GWIAZDO SREBRZYSTA

O gwiazdo srebrzysta znów jawisz się w dali,
Gdy zasłania wzrok ludów ciemnota.
Niech blask twój noc ciemną rozjaśni, przepali,
niech wraca nadziei nić złota.
Niech pierzchną zwątpienia, co dusze nękały
i mgły, które cel nasz zasnuły,
O gwiazdo! Jutrzenko! toć czeka świat cały,
a nasze cię serca przeczuły.
O! zaświeć co rychlej! i jaśniej!

I prowadź do walki, do dzieła,
Dość męki, niewoli, dość krwawej tej waśni,
Co ludzkość klęskami objęła.
Podejmij więc trudy, przez wszystkie spiesz kraje,
siej wszędzie wezwanie Przyszłości,
Ocknijcie się ludy! — Od wschodu dzień wstaje,
Dzień prawdy, pokoju, wolności!

FORNALE

Hej! skiba za skibą z mozołem
Orzemy wciąż czarną tę rolę:
Siejemy w nią zboże chlebowe
Zbieramy głód, łzy i niewolę.

Chleb krwawym zdobyty mozołem
Dziedzice zabiorą nam, panki...
Nie robią, nie orzą, nie sieją —
Przetrwonią na zbytki, hulanki.

Ty mieszkasz w mizernej chałupie,
Deszcz pada ci, bracie na głowę,
Za ciężką twą pracę, za zdrowie,
Masz płacę żebraczą, głodową.

Napróżno byś błagał i prosił,
Napróżno z rozpaczy rwał włosy...
Hej, bracie, już dosyć niewoli,
Za widły, kłonice i kosy!

Wytępim próżniaków, opasów
Zwycięstwa pieśń zabrzmi radośnie,
Zasiejem tu ziarno bezpańskie,
A chleb *dla gromady* wyrośnie!

KIEDYM SZCZĘŚLIWY?

Ja wam opowiem, kiedym szczęśliwy
— powiem otwarcie i całkiem szczerze:
kiedy na chwilę jestem spokojny
i nie ścigany, jak dzikie zwierzę;

kiedy samotny wyjdę na pole,
na łąki kwietne, w las na jagody,
kiedy spoglądam na zachód słońca
i chłonę urok matki przyrody;

kiedym wsłuchany w szmer traw cichutki,
w plusk wodnej fali, co głos mój tłumi,
w te łany zbożne. w ten las sosnowy,
który tak rzewnie i tęsknie szumi;

kiedy się drzewa trzęsą i chwieją,
gdy świst wichrowy ginie gdzieś w dali,
kiedy ten wicher tak dziwnie huczy,
jakgdyby płacze, skarży się, żali...

— Wówczas na chwilę chociaż zapomnę
o biedzie, nędzy, która mnie czeka;
oczarowany pięknem natury,
odczuwam wielką godność człowieka.

Kiedy napiszę wierszyk swój lichy,
który się w rymy mizerne klei,
w którym się staram, tak, jak skowronek,
o wielkiej pracy śpiewać idei,

o wspólnej pracy, ludów zbrataniu,
o końcu wojen, kresie wyzysku,
gdy robotnicy całego świata
złączą się w jednym bratnim uścisku,

kiedy świat krzywdy w otchłań zapadnie
i krew przestanie płynąć szkarłatem,
ten, co pracuje, światem zarządzi,
zaś każdy bliźni będzie nam bratem.

Dla tej idei pracować pragnę
i mam tę w sercu wiarę jedyną,
a głos swój łączę do tego chòru,
co świat uczyni jedną rodziną.

Gdy za mój wierszyk, choć nieudany,
oklask mi czarnych dłoni zapłaci,

to, chociem prostak niewykształcony,
będę szczęśliwy chwałą współbraci;

kiedy dla sprawy coś zrobić mogę,
radosny dla mnie jest taki dzionek.
Przy swojej biedzie jestem szczęśliwy,
tak, jak ten szary ptaszek, skowronek.

EWA

ŚWIT

Na pola wyjdę o świcie,
Gdy snują się jeszcze mgły,
Gdy gwiazdy gasną w błękicie,
Na pola wyjdę o świcie
Jutrzence zwierzyć swe sny.
Wyjdę raniutko na pola,
Nim biały zbudzi się dzień,
Nim władna porwie mię dola,
Raniutko wyjdę na pola
Przestrzennych napić się tchnień.
Wyjdę, gdy gwiazdy przygasną,
W bezkres zroszonych łąk,
By spojrzeć w słońca twarz jasną,
Wyjdę, gdy gwiazdy przygasną,
W rozświtu różany krąg.
I z cichą radością w duszy
W pierś wezmę porannych tchnień,
Że noc posępna się kruszy,
Z głęboką radością w duszy
Powitam wschodzący dzień.

JEŃCY

Idą o szarych twarzach, przygasłych źrenicach,
Przygarbione postacie w łachmanach i boso,
Żołnierze ich zwycięsko wiodą po ulicach,
Żołnierze, co junacko karabiny niosą.
Wloką się apatyczne, popielate cienie,
Po tępej całodziennej, syzyfowej pracy,
W oczach ich skamieniała nuda i cierpienie,
Prowadzą ich weseli, sprężyści junacy.
W rozsypanych szeregach dziwnie jednolici,
Prowadzą ich żołnierzy warty zbrojne, butne,
Czasami tylko ucho przekleństwo uchwyci!...

BYŁ CZAS

Był taki czas, gdy grom mych słów
drżał w sercach czynu dreszczem,
gdym chciała budziś was ze snów
okrzykiem walki wieszczym!
Był czas, gdy w pieśni moich dźwięk.
całą wam kładłam duszę,
pragnęłam zgłuszyć bólu jęk
w bojowej zawierusze.
Lecz zamarł w ustach pieśni ton

i duszę smutkiem znaczę,
bo próżno mej pobudki dzwon
do waszych serc kołacze.
Nieczuli wy na więzów moc,
na głos bojowej pieśni,
i długo jeszcze potrwa noc,
nim duch wasz sen swój prześni.

WYZWANIE.

Ja jestem Lud! Jam czarnym jest miljonem,
Żywiołów moc wre we mnie wszechpotężna,
Wyciągnę dłoń i wstrząsnę waszym tronem,
Rozgromi was Myśl moja niebosiężna.
Ja jestem Lud, co myśl swą już rozpętał
I zemstą wre odwieczną, a śmiertelną,
Jam każdy ból i krzyk swój zapamiętał,
By rzucić wam podziękę dziś piekielną.
Ja jestem Lud, roboczy motłoch czarny,
Co z pracy swej wam haracz krwawy płaci,
Przez wieków wiek dźwigałem krzyż ofiarny,
Dziś rzucam go na wasze łby, o kaci!
Jam Lud, a za mną groźnych sił miljony,
Nademną Duch z płomiennym zemsty znakiem,

Wstałem, by zwalić w proch przegniłe wasze
[trony,
roczyć wciąż zwycięstwa jasnym szlakiem.
Ja jestem Lud, co dojrzał poprzez kraty
Wolności świt, budzący duchy senne,
Wiodą mnie w bój sztandarów mych szkarłaty,
W Przyszłości szlak, gdzie Jutro lśni promienne.

CREDO

Wierzę, że przyjdzie wielka moc
w blasku miljonów oręży,
pochłonie wroga czarna noc,
Czerwony sztandar zwycięży!

Wierzę, że przyjdzie wielki dzień,
gdy pękną żelazne okowy,
w aureoli złotych lśnień
powstanie z gruzów świat nowy!

Wierzę, że blizki jest ten dzień —
dość jeno ramię wyprężyć,
dość wezbrać w piersi twórczych tchnień,
chcieć walczyć .i chcieć zwyciężyć!

NASZ CEL!

Nasz cel, to bój
O wolny lot,
To pracy znój,
W którym nasz młot,
Rozkuwa stal
Wiekowych pęt,
To w jasną dal
Zuchwały pęd!
Nasz cel, to dzicń,
Gdy wolny Lud,
Rzuci trosk cień
I głód i chłód!
Wyjdzie z pod chmur
W słoneczny krąg,
Stanie, jak mur,
Po latach mąk.
Nasz cel — to czas,
Gdy podły wróg
Padnie jak głaz
U naszych nóg,
Gdy wraży już
Zegniemy kark,
By w blasku zórz
Ucichł głos skarg.

Nasz cel, to nieść
Do izb i chat
Radosną wieść,
Że tyran padł!
Nasz cel. to Czyn
I twórczy trud,
By w Jutra jaśń
Szedł wolny Lud!

REWOLUCJONIŚCI

My wielkiej Sprawy bojownicy
Poprzez upalny idziem znój,
Śród ciemnej wrogów nawałnicy,
My wielkiej Sprawy bojownicy
Śmiało w śmiertelny dążym bój!
    Do Rewolucji dążym wiernie,
    Przez ostre głazy, poprzez ciernie,
    Przez krwawy trud i znój.
Nie zduszą w nas więzienne mury,
Ducha, co wolnym musi być,
Aby jak piorun przebił chmury,
Nie zamkną ducha więzień mury,
Co szlakiem zwycięstw ma się wzbić.

Do Rewolucji dążym wiernie,
Przez ostre głazy, poprzez ciernie,
Przez krwawy trud i znój.
Przez najemników podłą zgraję,
Myśmy ścigani, jako psy,
Lecz duch nasz w walce nie ustaje,
Wznosi się nad nikczemną zgraję
I śmiało z wroga drwi.
Do Rewolucji dążym wiernie,
Przez ostre głazy, poprzez ciernie,
Bo świt wolności lśni.
Chociaż nas chłoną więzień wrota
Duch nasz, jak Feniks, wieczny ptak,
Wolności trawi nas tęsknota,
Nie zmieszczą nas więzienne wrota,
Wiedzie nas *prawdy* znak.
Do Rewolucji dążym wiernie,
Przez ostre głazy, poprzez ciernie,
W Przyszłości jesny szlak.

NIEZNANY

SEN ŻOŁNIERZA

Zamarzył mi się dzisiaj Wielki Dzień Warszawy;
inny, niż każdy „piękny dzień słoneczny“
ten bez złotych sztandarów, bez hucznych
[wiwatów,
nie było blasku, szczęku, ni pustej zabawy,
ani sztucznych nastrojów, różnobarwnych kwiatów,
ale w dniu tym rozstrzygał się bój ostąteczny,
ale była to walka o zwycięstwo Sprawy.
W tej ciemnej, chmurnej, trudnoprzejrzystej
[pomroce
widzę zdała horyzont już dziś nadto krwawy,
słyszę jak wiatr jesienny huczy i w szyby łomoce,
a ulicami ciągną czarnych tłumów chmury.
To wyszła świętować dziś nędza Warszawy,
by władzę zdobyć w ręce wszechwładnego ludu
i ład nowy dźwignąć na swe własne bary;
to dziś ma Rewolucja z roboczego trudu,
wykrzesać już z ukrycia te żelazne moce,
które połamią wszystko, co zastąpi drogę.

UWADZE CZYTELNIKA.

Brakujące stronice 25, 26, 27 i 28 w niniejszej książce p. t. „I-szy Zbiorek Poezji Robotniczej“ zostały wycięte na życzenie autora. Utwory te autor już po wydrukowaniu nakładu uznał za nienadające się do druku.

Wydawcy.

JÓZEF MAZUR

DO MORZA

O bezbrzeżne, ciemne, ciche Morze!
kiedy spoglądam w bezdrożne twe głębie.
zda mi się: zło w twem pogrążę przestworze
w twej przepaści na wieki zagłębię.

POŻEGNANIE

Wychudli, bladzi, oberwani tacy,
najdrożsi moi towarzysze pracy,
wy odjeżdżacie, szczęśliwi nadzieją
tam, gdzie wam niwy i sady się śmieją.
Ja was nie żegnam, choć wielu was żegna,
bo wszędy dogna was myśl szybkobiegna,
jak złoty promień pogodnego słońca,
co kraj prześwietla od końca do końca.
Gdy na was patrzę, łza mi zalśni w oku,
kiedy dosłyszę, gdy pochwycę w mroku
krótki wasz oddech, szybkie serca drgnienie,
to piersi moje łamią się w westchnienie.

Ja was nie żegnam, choć wielu was żegna!
bo wszędy dogna was myśl szybkobiegna,
bo czas nadejdzie, kiedy za mgłą szarą.
zlecim się wszyscy wielką ludu chmarą.
Staniemy zgodnie w jednym szeregu,
krwawych łez strumień wstrzymamy w biegu,
stępimy ciernie i głazów krawędzie,
zaczniem pracować i dobrze nam będzie.

POWRÓT

Wróciłem ze wschodu, kędy pług wolności.
złe dusze i ciała przeorał do kości.
Jestem jako ziarno rzucone na nowiu,
rozpleniam dobro w pustkowiu,
witam was wszystkich tym słońca promieniem,
co świat zapali płomieniem!

ZMAGANIA

Grzmią armaty, dym czarny się kłębi,
jakgdyby w jakiejś piekielnej głębi.
Od czarnej dłoni — w ognistych gradach
świat stary trzeszczy w posadach.

Grzmią armaty, kule świszczą w pogoni.
dym czarnym sztandarem twarz słoni,
padają śmiertelne ciosy,
ważą się czyjeś losy...

Grzmią armaty, wrą krwawe boje...
Ludu, bliskie zwycięstwo twoje!
Zdwój twe wysiłki, ludu:
bije godzina cudu!...

NIECHAJ SZTUKA ŻYJE!

W natchnieniu wielka porwała nas chmura,
czujem, jak świat w nasze struny uderza,
aż w uchu dzwoni i płynie w bezmierza,
kędy na maszcie genjusz roztacza swe pióra.
W locie żadna nie zdoła pochwycić nas ręka,
gdy nasz duch przelatuje nieskończone puszcze
i w oka mgnieniu wśród ognistych gwiazd się
[pluszcze,
kędy twórcza przed nami wyobraźnia klęka.

Tworzym, by w brątnich duszach wzmagać
[nadzieję,
a gdy promienne duch skrzydła rozwinie,

to świat cały w czarowną przemieni krainę,
cały bezmiar cierpienia, jak popiół rozwieje.

Choć życie nasze w nędzy pomrokach się kryje
chociaż nieraz nas grążą posępne odmęty,
choć los nasz niedolą i głodem przeklęty,
my naprzód zawsze z okrzykiem:
Niechaj sztuka żyje!

T. SKRAJCZYK

W FABRYCE

Już stanęli do pracy. W ruch silnik puszczono.
Warknęły trybów zęby, zgrzytnęły tarcz ściany,
i praca jednostajna zawrzała bez zmiany —
człowiek się zmienił w kółko, pędnię i wrzeciono.

Tam znów ogniem piekielnym paszcze pieców
[zioną,
bucha płomień do góry — silnie podsycany;
tam gdzieś się słania człowiek — pada
[wyczerpany...
Nie wiedziano nic o tem — nie zauważono. —

Wśród turkotu i stuku słychać coś, jak jęki,
jakby moc rozszalała, lecz spętana, dzika —
tłukła głową lub piersią w podrażnione nerwy.
Wydobyto skądś kogoś: brakło mu już ręki,
lecz się czulić nie pora i wrażenie znika,
bo tu pilno trza robić i robić bez przerwy.

ZIMOWYM RANKIEM

Jeszcze nocy zimowej cień miasto okala,
jakby przymarzł do niego, a już przez ulice
śpieszą tłumy do pracy: oboje rodzice,
dzieci, malcy, wyrostki — nędza ich zniewala.

Śpieszą, biegną wprost nieraz, bo przychodzą
[zdała,
byle tylko przed świstkiem stawić się w fabryce,
śpieszą, biegną zdyszane z przedmieść robotnice,
gdyż im drożyzna mieszkać blizko nie pozwala.

Jeszcze nocy zimowej cień miasto okala;
tylko światło latarni słabo wzrok rozprasza,
lub iskierki kaganków — z suteryn, z poddasza;
jeszcze cicho, spokojnie w niejednej pieleszy —
a tu już płynie ludu złototwórcza fala,
potyka się zmarznięta — śpieszy się i śpieszy.

ROBOTNICA

Zanim zabłyśnie świtem wschód, —
zimowym mroźnym rankiem,
ona już śpieszy — pcha ją głód —
do miasta z koszem i dzbankiem.

Gdy jej pieniędzy czasem brak,
to ma w sklepiku kredę;
resztę załatwia tak lub siak,
i jakoś łata biedę.
Ziemniaki, mleko bierze, chleb,
lecz nie wiedziała biedna,
że już na kredę nie da sklep,
bo go zarwała jedna.
Wreszcie za perły gorzkich łez
dostała — za trzy złote
z warunkiem, że—niech ją tam pies—
odda zwiększoną kwotę.
Kiwnęła głową, bowiem z warg
nie mogło spłynąć słowo.
Wszak jutro trzeba przyjść na targ
i błagać go nanowo.
Przyszła do domu!.. Jeszcze mrok
wypełnia izbę ciasną;
gdybyż—westchnęła, siląc wzrok, —
mieć chociaż taką własną...
Roznieci ogień. Wstaje mąż; —
wnet mu śniadanie stworzy.
On taki chudy, słaby wciąż
przez rok okrągły boży!
Pobudzi dzieci, da im jeść —
przez chwilę jeszcze sprząta;

i nim wydzwoni zegar: sześć —
wnet wszystko mach! do kąta!
Zostawia dzieci, sama zaś
biegnie co tchu do tkalni;
pamięta, gdy jej radził Staś,
że lepiej tu, jak w pralni.
Ale jej trudno z tem się zżyć,
już traci nawet zmysły;
to ręce drżą jej, — rwie się nić,
to sypią się wymysły.
Majster zagroził nawet już —
Stachowi nic nie powie! —
że ją oddali, jeśli..... cóż?
Przecież się nikt nie dowie.
Codzień się spłacze... Czasem w noc,
gdy Stach się do niej czuli,
ściska jej serce jakaś moc —
odpycha go, to tuli...
W południe wraca — obiad wnet
sporządza jaki taki;
tylko odpocznie trochę grzbiet —
rozlecą się, jak ptaki.
Gwizdek — i znowu maszyn stuk —
ot życie jej sobacze!
wspomni w sklepiku ranny dług
i cicho, cicho płacze...

Milczy, czy nuci, czy też łka —
postawy swej nie zmienia,
jeno bez przerwy tka i tka
do gwizdka... do omdlenia.
W domu znów musi szyć i prać,
chociaż nie robi w pralni,
o drugiej w nocy idzie spać,
o szóstej zaś... do tkalni.
Gwizdek — i znowu maszyn stuk
pieśń swoją jej kołacze:
„Ach, gdzież ten Ojciec, gdzież ten Bóg?“
i cicho szlocha, płacze.

MIROSŁAW

HYMN

(Według słów „Ody do Radości“, Szyllera; melodja Beethovena).

Robotnicy! Naprzód śmiało!
Jeszcze krok, a legnie wróg.
Opromienią wnet świat cały
Nowa wiara, nowy bóg!
    Tryumf prawdy! Wieść radosna
    Puka już do naszych chat
    I zagości wieczna wiosna:
    Człowiek—człowiekowi brat!

Krew męczeńska jeszcze płynie
I niewinnych ofiar stos:
Wszak ciemięzcy przemoc słynie,
Siła ma przed prawem głos.
    Tryumf prawdy! Wieść radosna
                                        i t. d..

Wszechludzkości my głosimy
Pokój trwały; dość już krwi!

Zemsty, sądów się brzydzimy
Mimo, że z nas tyran drwi,
Tryumf prawdy! Wieść radosna
i t. d.

Państwo pracy my wzniesiemy,
Burząc stary, podły ład,
Wojnie — wojnę wypowiemy,
Bo ojczyzną—cały świat!
Tryumf prawdy! Wieść radosna
i t. d.

Wolność, Równość i Braterstwo
Krwawy sztandar niesie nam,
Krzywdę ludu, wyzysk, zdzierstwo
Precz usunie „Wielki Cham".
Tryumf prawdy! Wieść radosna
i t. d.

My na szańcach krew ofiarną,
Głód i nędzę, łzy i pot
Przeoramy w czyn mocarny,
W nowe godła:
Tryumf prawdy! Wieść radosna
i t. d.

PRZEKŁADY

KILKA SŁÓW O AUTORACH UMIESZCZONYCH TUTAJ PRZEKŁADÓW, TUDZIEŻ O ICH UKŁADZIE

Zaczynamy od Amerykanina Walta Whitmana, jako właściwego zwiastuna nowej poezji. Niektóre z zawartych w niniejszym zbiorku jego utworów drukowane już były bądź to w rozmaitych czasopismach robotniczych (przeważnie w związku z wydrukowanym w „Wiedzy" z r. 1910 artykułem: „Walt Whitman, jego życie i twórczość"), bądź też w książeczce A. Sokolicz: „Walt Whitman" (bibljoteczka „Świata Pracy"), inne znów ukazują się tutaj po raz pierwszy w przekładzie polskim. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć na tem miejscu, że do bardzo nielicznej garści tych, co pierwsi powitali z uznaniem wschodzącą ruń nowej poezji, zieleniejące „Pędy Trawy" (Leaves of Grass) Walta Whitmana należał niezapo-

mniany wielki nauczyciel i wódz proletarjatu, Karol Marx, obdarzony rzadką wrażliwością na piękno artystyczne we wszystkich jego przejawach. Zwracamy uwagę czytelników na wiersz programowy Whitmana „O Muzo“, wymagający pewnych wyjaśnień. Poeta odważa się ściągać wieszczkę poezji, Muzę, z wyżyn Parnasu, siedliska dziewięciu sióstr boga światła i sztuki, Fojbosa-Apollona, każąc jej opuścić słoneczną Helladę i Jonję (Grecję), zapomnieć o bohaterskich zapasach, opiewanych w poematach Homera („Iljada“ i „Odysseja“), Wergiljusza (Eneida) i twórcy włoskiego, wielkiego autora „Boskiej Komedji“, Dantego.

Zamiast starych, oklepanych, po tylekroć ogranych tematów, wskazuje Whitman Muzie nowe przedmioty poezji, wyrosłe z wysiłków mięśniowych dziesiątków i setek tysięcy robotników: kable podwodne telegrafu między Europą i Ameryką, kanał Suezki, łączący poprzez Morze Czerwone Morze Śródziemne z Oceanem Indyjskim, a więc Europę z Indjami; tunel Gotardzki, ułatwiający połączenie między Szwajcarją a Włochami, wielki most, łączący Bruklin z Nowym Jorkiem — wszystkie słowem dziwy i cuda pracy zbiorowej, dziś jeszcze wyzyskiwane przez garstkę magnatów Kapitału dla pomnożenia miljardowych dochodów,

dla zaszachowania współzawodników; jutro przejęte na własność przez zwycięski proletarjat międzynarodowy i służące tylko zacieśnieniu węzłów pomiędzy ludźmi rozmaitych ras i szczepów.

Rozlewne, nieokreślone jeszcze bliżej sympatje społeczne Whitmana nabierają wyrazistości dopiero u jego długoletniego przyjaciela i wiernego towarzysza ostatnich lat żywota, Horacego *Traubel'a*, autora „Chant Communal", którego nazwać można śmiało pierwszym chorążym kultury proletarjackiej, on to bowiem tak jasno, jak nikt przed nim, dał wyraz swoistości, odrębności Piękna, widzianego przez pryzmat duszy robotniczej.

W miarę, jak ruch robotniczy staje się masowym, w miarę jak robotnik zorganizowany zawodowo i politycznie uświadamia sobie swą moc i z mocy tej czerpie natchnienie twórcze, zjawiają się na miejsce samotnych jednostek całe plejady, całe zbiorowiska poetów warsztatowych. I nie jest bynajmniej przypadkowym fakt, że pierwszy objaw tego rodzaju zachodzi w Niemczech, w kraju, gdzie po raz pierwszy udało się robotnikom utworzyć silną, zwartą partję polityczną. Tutaj też ukazuje się przed 10-ciu laty pierwsza książka, zawierająca owoce natchnień i rozmyślań samych wyłącznie robotników p. t. „Robotnicy-poeci i myślicie-

le". Z niej to pochodzą poezje **Olka**, **Bradego** (kowala z zawodu), **Klechy** (ślusarza w fabryce maszyn) i **Blumego** (robotnika blacharskiego).

Pozwoliliśmy sobie dodać do tych wierszy garść utworów, że tak powiemy „wojennych". — Wiersz *Claudiusa*, pisany jeszcze w 1915, w dobie rozpasania chuci nacjonalistycznych i szalejącej rzezi światowej, zwiastuje nawiązanie zerwanej przez wojnę potężnej międzynarodowej spójni proletarjackiej.

„Pieśni Wichrowe" **Karola Liebknechta** przeznaczone były pierwotnie tylko dla najbliższego otoczenia, dla rodziny i przyjaciół, pisał je bowiem na wiosnę 1917 r. już po otrzymaniu wieści o wybuchu Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej, — pisał zamknięty w celi pojedyńczej więzienia karnego w Luckau, dokąd wtrąciła go banda opryszków, zwąca się rządem pruskim, za to, że 1-go maja 1916 r. na placu Poczdamskim w Berlinie rozdawał odezwy rewolucyjne i wznosił okrzyki—„precz z wojną"—wśród paru ledwie towarzyszy. Poezje Liebknechta odsłaniają nam nieznaną dziedzinę przebogatej duszy wielkiego bojownika i męczennika sprawy robotniczej, który z żelazną energją mocarza czynu łączył wysubtelnienie duchowe artysty, wrażliwego zarówno na pierwsze podmuchy

nadchodzącej burzy dziejowej, jak na czar melodji Szopena i Beethovena. W ogniu walk „o wolność i nowy ład“ powstała pobudka robotnika niemieckiego, pochodzącego z Inflant i kryjącego się pod pseudonimem „Buddo“; napisał ją w Rosji w pierwszych dniach po wybuchu rewolucji listopadowej (zachowaliśmy bez zmiany datę października, wzmiankowaną w oryginale z tej zapewne racji, że miesiąc ten przypada na okres wrzenia przedrewolucyjnego, kiedy to na szali dziejów ważyły się losy bohaterskich wysiłków proletarjatu rosyjskiego).

Chcemy na ostatku podać parę źródeł informacji o pozostałych jeszcze autorach. Janko Kupała, piwowar z zawodu, samouk z edukacji, jest najwybitniejszym ze współczesnych poetów białoruskich. Czytelników, interesujących się jego ciekawym i niepospolitym dorobkiem poetyckim, odsyłamy do artykułu „Z chłopskiej piersi“, umieszczonego w „Nowem Życiu“ z r. 1911 oraz do książeczki A. Żyranika „Zarys Literatury Białoruskiej“ (wyd. tygodnika „Przymierze“). O Gastiewie wreszcie znaleźć można garść wiadomości w wyborze jego pism, który ukazał się niedawno w przekładzie polskim w wydaniu „Sceny i Lutni Robotniczej“.

O MUZO!

O Muzo, opuść Helladę, Jonję pozostaw!
Zapomnij o baśniach Trojańskich, o gniewie
[Achilla,
Odysa podróżach, Eneja przygodach,

Na Parnasie przybij tabliczkę:
„Do wynajęcia z powodu wyjazdu".

I oto zstępuje przez modły zbłagana.
O z władczyń władczyni! O czyż marzyć się
[ważę?
O Wergilu potężny, o Dante, o bóstw marmurowe
[posągi, o podania, świątnice,
O rozkosze wiekowe, o ballad mirjady. —
Czyż nie w waszej jest mocy ją czarami
[zatrzymać?
O z władczyń władczyni! o czyż marzyć się
[ważę?
Turkot maszyn i gwizd lokomotyw
Czyż ją przestraszą?

Rury drenowe, wentyle, gazomierz
Czyż ją zmieszają?
Uśmiecha się mile i rada pozostać i w kuchni
[jej dobrze
Wśród naczyń, wśród swędu.
O nie bój się, Muzo!
Nowe cię dnie opromienią i nowe czekają
[cię czasy
Nowych pokoleń.
Lecz serca tak biją, jak niegdyś, te same nurtują
[uczucia,
Tak samo krew bije gorąca,
Wciąż ludzie ci sami i duszą i ciałem;
Ni gorsi, ni lepsi—ciż sami i twarze te same.
Precz ze staremi bajdami!
Precz z kłamstwem obłudnem romansów
[i dworskich dramatów,
Z ckliwością słodkawych miłosnych wierszyków,
Z myślami, czuciami próżniaków!

I tutaj nasze i dziś w ofierze Ci, Muzo,
[przyniosę,
I kable, co łączą z lądami Atlantyk,
I kanał Suezki, i tunel Gotardzki, i most gigantyczny
[Brukliński!

I całą przyniosę Ci ziemię, by kłębek szynami
omotan,
Przyniosę Ci kulę kręcącą się ziemską.

ZACHOWAJ, NATURO!

Zachowaj swe ciche, mieniące się słońce!
Zachowaj, Naturo, swe lasy i w cieniu ich
[wdzięczne ustronia!
Zachowaj swe pola, porosłe trawą i koniczyną,
[swe niwy i sady!
Zachowaj swe wonne gryczane zagony, gdzie
[brzęczą wrześniowe pszczoły.
Oblicza mi daj i ulice, daj nieskończony orszak
[tych mar, daj trotuary!
Daj nieskończone spojrzenia, — daj mi kobiety,
[daj mi tysiące druhów i towarzyszy!
Pozwól mi codzień nowych oglądać, — co dnia
[nowym dłoń ściskać!
Niech się ucieszę podobnym widokiem, ulice mi
[daj Manhattanu!
Maszerującą kompanję żołnierzy na Broadwayu
[z grzmiącemi trąbami, bębnami!
Daj mi brzeg i portowe warsztaty i wystające
[z nich czarne okrętów kadłuby!

O dla mnie to wszystko, o życie przemożne,
[nadmiarem rozlewne, zmiennością bogate,
Teatrów, szynkowni, wspaniałych hotelów zawrotny
[wir dla mnie.
Salony statków parowych, rój wycieczkowców,
[tłum z pochodniami kroczący!
Zbita w ordynku brygada, ciągnąca do boju,
[za nią ładowne furgony!
Lud, co przewala się falą zmienną, zgiełkliwą,
[namiętną, błyskliwą!
I Manhattanu ulice, tętniące życiem potężnem,
[bębnów odgłosem grzmiące,
Jak oto w tej chwili!
Chór nieskończony, wrzawliwy, łomot i szczęk
karabinów —
Tłum Manhattanu, kłębiący się w rytmie
szalonym —
Jego oblicza, spojrzenia—dla mnie na wieki.

TE CZCIONKI...

Te czcionki, co wzrokiem przebiegasz,—toć zecer,
[toć chłopiec z drukarni.
A czemże znów ta fotografja, co trzymasz z taką
[pewnością, jeśli nie przyjacielem, nie żoną?

Czemże ten okręt w stal czarną zakuty
Wraz z armatniemi wieżami,
Jeśli nie męstwem wcielonem załogi i kapitana?
A urządzenie domowe, bogata zastawa i jadło na
[stole, nie gospodarz że to, nie gospodyni?
Czyż nie spojrzenia ich oczy?
A ów firmament niebieski, alboż nie tu on, nie z nami?
A wszyscy mędrcy i święci nie są że twoją osobą?
A czemże kazania, religje, jeśli nie mózgiem
[człowieczym?
I czemże jest rozum? czem miłość? czem życie?

NIE ZAWIERAJCIE PODWOI...

Nie zawierajcie przedemną podwoi, o bibljoteki!
Przynoszę wam bowiem, co brakło na waszych
[półkach wypchanych, co jednak koniecznem
[jest dla was;
Jam z bojów i z walk się wyłonił — stąd książka
[powstała!
Niczem jej słowa, wszystkiem — jej pęd
[niewstrzymany!
Książka dla siebie, z innemi niespokrewniona,
[nieogarniona przez umysł,
Lecz tajń niewymowna ku tobie z każdej jej strony
[wyziera.

Z PIEŚNI O SOBIE SAMYM

Jam Whitman, jam wszechświat, jam syn
[Manhattanu!
Wrzawliwy, cielesny, zmysłowy, jedzący, pijący,
[płodzący.
O głosy tak długo tłumione, przezemnie burzliwie
[pędzące!
Głosy pokoleń więźniów i rabów!
Głosy zbolałych, wątpiących, złodziejów i kalek;
I nici gwiazdy łączących, i łon macierzyńskich
[i nasion tworzywa,
I stworzeń potwornych, głuptaków, półgłówków,
[przeciętnych, wzgardzonych,
I mgieł w powietrzu rozsnutych i żuków w nawozie
[grzebiących.

Przezemnie pędzą zakazane głosy:
Głosy pożądań i chuci, spowite w zasłony,
[przezemnie rozwite,
I głosy lubieżne, w mem wnętrzu przemienne
[i czyste...

Płci połączenie mnie takoż nie gorszy, jak śmierć!
Wierzę bo w ciało i w żądze cielesne!

Cudownym jest wzrok mój, i słuch mój i czucie — [to cuda,
I ciała mojego najmniejsza cząsteczka jest [cudem!

Jam bogiem nawewnątrz i zewnątrz, i boskiem, co [dotknę, uczynię,
A zapach mych dłoni wonniejszy od modlitw,
A głowa ta oto ważniejsza od biblji, kościołów [i wszystkich objawień.

PIONIERZY

Hej, młodzieńcy ogorzali, opaleni słońca blaskiem
Marsz w ordynku równym krokiem, w pogotowiu [trzymać broń!
Wszyscyż mają rewolwery i topory wyostrzone?
Hej, pionierzy, w górę czoła, równym szykiem [idźcie w świat!

Bo popasać nam niewolno:
Musim naprzód, ciągle naprzód poprzez burze [i grad kul.
Toć przed nami przyszłość stoi, świat otwarty [i nieznany!

Hej, pionierzy, w górę czoła, równym szykiem
[idźcie w świat!

Przeszłość leży już za nami,
Bo my idziem w nowy, szerszy i zmienniejszy,
[piękny świat,
Niesiem świeże mocne dłonie, aby burzyć, aby
[tworzyć i pracować, jak daleko sięgnie wzrok.
Hej, pionierzy, w górę czoła, równym szykiem
[idźcie w świat!
Nasze mężne bataljony
Brną w przepaściach, docierają aż do stromych
[szczytów gór,
Zdobywają, dzierżą szczyty, na nieznany wschodzą
[szlak.
Hej. pionierzy, w górę czoła, równym szykiem
[idźcie w świat!

Wyrębujem stare bory,
Tamujemy bieg potoków, wykopujem rudę z ziemi
Przemierzamy wielki obszar, bruździm młodą
[ziemię czarną.
Hej, młodzieńcy, czy odwagi starczy waszej na
[daleki, trudny szlak?
Bo w obliczu zwartych tłumów nam niewolno
[chwiać się, wahać!

A więc naprzód spójnym szykiem:
Poprzez boje, poprzez klęski, dalej w drogę bez [spoczynku!
A gdy śmierć jednego porwie, mocniej zewrzeć [się w ordynku!
Hej, pionierzy, w górę czoła, równym szykiem [idźcie w świat!

HORACY TRAUBEL

WŚRÓD DROGICH MYCH TOWARZYSZY, WŚRÓD LUDU ODBYWAĆ SWE LUBIĘ WĘDRÓWKI.

Wśród drogich mych towarzyszy, wśród ludu
[odbywać swe lubię wędrówki,
W weselu i ducha spokoju ulicą ciągnąć miastową,
Dobro i zło bez obawy przyjmując, nie tracąc
[ufności, gdy zło urągliwie się chełpi,
Wszystek swój byt poświęcając bytowi grcmady,
Szczodrze swem życiem szafując, jak ona swem
[życiem szafuje,
Z świętym strumieniem się łącząc, na czoło się
[nie wysuwając.
Wy, drodzy druhowie, ty, ludzie, — braterska
[gromado,
Dobądźcie mię z głębi mej jaźni, dotrzyjcie do
[rdzenia jestestwa i weźcie swoją zapłatę;
Nie wstydzę się Was, moi bracia, i obcą mi pycha:
[druhami moimi jesteście—nic więcej rzec już
[nie mogę.

Spocznijcie i kroczcie, klnijcie, wrzeszczcie, bądźcie
[zepsuci,
W miłosnych splotach się wijcie, pełni występków—
Nie rozumieją Was jednak, nie chcą Was pojąć
[ci w rękawiczkach,
Nie rozumieją Was jednak, nie chcą Was pojąć
[ci kulturalni:
Sądzą, iżeście wstrętni i brudni, nie dowierzają
[Wam, mężom, kobietom;
Ja przecież idę ręka w rękę z Waszą gromadą,
[o drogę się nie troskając;
Znikają ich kluby, zostają pozamną ich bibljoteki,
jeno Wy ze mną wśród źrałych pól zżętych;
Albowiem miłość, jaką Was kocham, głębsza,
[wznioślejsza, niż wszelki wyraz kochania.
Poświęćcie się czynom, co wieczną okryją Was
[chwałą.

— — — — — — — —

Szumi morze wezbrane, morze mych towarzyszy,
I nawołujem się wzajem, płynąc na grzywach fal
[wrzących,
I równie się roją ulice od naszych miljonów,
I domy zaciszne na każdej ich stronie wpatrują
[się w nas niemym wzrokiem,

I udzielamy wielkiemu miastu blasku i życia —
[inaczej jest blade i martwe.
Na Waszych barkach wszystko się wznosi, by
[cudem się stać niebosiężnym,
I cierpiąc i gasnąc, w bezmiary się wzbija, by
[sztandar nadziei przyszłości.

— — — — — — — —

Drodzy druhowie, o ludzie mój drogi, przechodzę
[wśród Was niewidzialny z powagą, jak
[gdyby istotnie,
I wszyscy bezwiednie wzbieracie mię w siebie
[i wzbieram Was wszystkich wzajem.
I razem spływają łzy nasze w jednej boleści,
I śmiech harmonijnie rozbrzmiewa w jedynym
[radosnym okrzyku,
Ze wspólnej pracy chleb wspólny się stwarza.
A jeśliście chorzy—toż łoże wraz z Wami
podzielę,
A kiedy umrzecie—toż w jednym chowają nas
grobie;
Każdy z nas w drugim rozlany, by w wspólnej
[miary naczyniu,
Nie pragnąc uzyskać szczególnych dla siebie
[odznaczeń,

Nie oddzielając swej jaźni odemnie, jak ja nie
oddzielam się od Was,
Dążąc jedynie, by wznieść się i pędzić wraz
[z głównym nurtem,
Nie zaś, iżby kto był wybrany, by nad wszystkimi
[górował: wzniosła jest jeno gromada!
Wśród ulic miasta szerokich, wśród nocy
[poszumów burzliwych, upojnych,
Gdy z domu wychodzę, by ciągnąc ulicą, by
[w Waszej pogrążyć się fali.
zanurzam się wówczas natchniony w poezji
[[piękności,
Pragnę te rzeczy wyrazić, atoli słów nie znajduję,
Wskazania jeno dać mogę — i muszą one
[wystarczyć,
Gdy pragnę miłość dla ludu obudzić — nie znajdę
[u nich posłuchu:
Nie spostrzegają wołania wśród wrzawy ponęt
[wszelakich,
Toż nie potępiam, nie płaezę, swej sprawie się
[nie sprzeniewierzam:
Znam wszystko, co wiernych mych druhów
[obchodzi, znam lepiej, niż znają to sami,
A jeśli zamknięte ich wrota, przeniknąć tam
[zdołam bsz klucza.

Choć wnętrza mej duszy nie znają, choć go nie
[pojmują, nie ujdą mej czujnej miłości.
Pełne są ludu ulice, lud przepełniony mą duszą;
Skarb ludu—widzę—zgarniają na własność artyści,
[nie wiedząc, że baczność mam na nich,
I mieszczą go w książkach, obrazach swych,
[swojej muzyce i rzeczy zowią inaczej, gleby
[niepomni, co plon obrodziła,
I słońce i deszcz nazywają inaczej;
Lecz lud jest wytrwały i wielkie swe mienie po
[sobie zostawia;
I w twarzach mych druhów, co widzę tej nocy,
[w niezłomnych obliczach
Żywie świadectwo i obietnica wiecznej błogości,
[wiecznej płodności,
Jaśniej, niż gwiazdy na nieba błękicie,
Jako zapowiedź najczystszych spełnień duchowych.
...Wśród drogich mych towarzyszy, wśród ludu
[odbywać swe lubię wędrówki.

UŻYCZCIE MI, BRACIA, POSŁUCHU...

Użyczcie mi. bracia, posłuchu, coś pragnąłbym
[Wam wypowiedzieć:
Dni wiele i wiele lat widziałem Was ciągle przy pracy

I boje wraz z Wami toczyłem o byt i wspólnie
[walczyłem z wyzyskiem;
Więc proszę, użyczcież posłuchu wyznaniu,
[co z piersi się tłoczy.
Chcę wyznać, jakożem wzrok swój odwrócił
[od królów, od ludzi przesławnych, przewielkich,
[jakożem wejrzał na Wasze szeregi,
Jakom w Was znalazł, com sądził w nich znaleźć
[i jakom się czuł zawiedziony,
Iż przyczyn, pierwiastków szukając, znalazłem je
[u Was wyłącznie,
Iż w wielkie wczytując się dzieła, ich źródła
[dochodząc, odkryłem je u Was.
Lud prosty i wspólna dla wszystkich ziemica,
[i morze, i gwiazdy, i słowem nieogarniona
[wieczystość w mroki spowita!
Zmierzch przedzierając dziejowy, kroczyliście
[naprzód, nie odstępując ni na krok,
Stale obecni w wyroku godzinie — z miana, ze
[sławy wyzuci w spisach wydarzeń dziejowych.
Niknęli królowie i bohaterzy, Wyście zaś wieki
[przetrwali.

— — — — — — — —

Opatrywaliście oto narzędzia, lecz któż W a s
[opatrzył?

Widziałem—żywiliście ogień, lecz któż W a s
[wyżywił?
Na kartach historji znaczyły się dumne imiona, —
[lecz nigdym Waszego nie dojrzał.
Historja swe wielkie sprawiała obchody, nie
[prosząc Was nigdy o udział.
Idziecie rankiem do pracy, naczynie w zanadrzu
[trzymając;
Czyż jeno Wasza zawarta tam strawa, na Waszążż
[mierną potrzebę?
Miljony ust jeszcze czerpie z naczynia. co z sobą
[nosicie.

— — — — — — — —

Wieczorem, gdy z pracy kroczycie do domu, to
[cały powraca wraz wszechświat,
Gdy powstajecie do walki z wyzyskiem, powstaje
[wraz z Wami i słońce:
Z Was bowiem spływają potoki wydarzeń i w górę
[się wznoszą—dziejowe przypływy, odpływy.
Albowiem przepych i nędza światowa—to twór
[Waszych mięśni ramiennych,
Albowiem prawo wszem wspólnej ziemicy — to
[prawo prostego człowieka.

— — — — — — — —

Użycz mi, bracie, posłuchu: coś pragnąłbym Ci
[wypowiedzieć:
Wraz z światem stanąłem przy ławie warsztatniej,
[by czcić Waszej pracy narzędzie,
Wraz z Waszą sprawą w jednom wszelakie inne
[połączył i księgęm zawarł dziejową, gdym
[wniósł Waszą chwałę, niedostrzeganą
[przez wieki,
Iżby, gdy dojrzą Was ludzie rankiem, czy wieczór,
[jak śpieszyć będziecie do pracy, czy
[kiedy też indziej, z czcią obnażyli swe głowy.
Iżby mężowie, kobiety i dzieci miast iść do
[kościoła, by bóstwo podziwiać, do sądu,
[by sprawiedliwość oglądać,
Szli do Was, gdziekolwiek jesteście, cokolwiek za
[pracę spełniacie
Pragnący, pełni ufności, wieczyście przez Was
[wzmocnieni, krzepieni.

FRYDERYK BLUME

GODZINY POFAJERANTOWE

Ciężki był dzisiaj dzień: naglą zwierzchnicy,
aby w terminie wykończono pracę,
Więc żyły ciągną z siebie robotnicy,
jakby za łaskę, nie za marną płacę!

Nie dojrzeć śmiechu w tłumie wyprężonych
czarnych postaci, które niespokojnie
kręcą się w blasku ognisk rozżarzonych,
byle zarobić grosza więcej, hojniej.

Fajrant! radosne hasło się odzywa —
nadchodzi koniec pracowitej męki,
milknie kół warkot dość na dziś udręki;
przez bramę głucho tłum roboczy spływa.

WILHELM KLECHA

LOKAUT

Zwolna, miarowo nadciąga zdala
robocza masa, najniższa klasa,
a w sercu mem wzbiera fala...
    A tam u okien czeredka stoi
    ludzi zgłodniałych, w mankietach białych,
    i kpiny stroi.

Rycerze pióra! próżno sięgają
nad tłum wzgardzony: toć nędzy szpony
ich też chwytają!
    Środkiem ulicy płynie głów morze.
    W głuchem milczeniu, w groźnem skupieniu
    kopią śmiertelne łoże.

Grzebią Kapitał robocze siły.
Jeszcze potężniej — a szyk oręźny
obali porządek zgniły!

ROBERT BRADE

KOWADŁO TĘTNI...

Kowadło tętni w takt uderzenia mego młota,
Wydzwania dziwną pieśń:
Rozbrzmiewa oto tonem czystym i radosnym,
To tętni znowu głucho i ponuro.

Kowadło tętni w takt uderzeń mego młota:
Brzmi głucho, gdy zacięży mu żelazny drąg,
I skarży się, gdy dłoń umyślnie wstrzyma dzwon,
Lecz rozkołysze się wesoło jego pieśń,
Gdy lekko na nie spuści się, igrając, mistrza młot.

Kowadło tętni w takt uderzeń mego młota;
Odbrzmiewa jego ton w mej duszy falą dzwonną,
Bo również tam drga skarga głucha i ponura,
Gdym kajdanami skut, gdy mi ciężarem trud,
Lecz tętni znów weselem pieśń, gdy mi radością
[praca.

FRITZ OLK

WIOSNA

Robota niech zaczeka krótki czas:
wyjść muszę w dal, w szerokie pole, hen,
by spojrzeć chociaż raz na łąkę, las,
bo oto czuję — świat otrząsa z siebie sen.

Promienne bogi znów wiosenny śpiew
rozdzwonią pośród pól i serca wzruszą tony,
i ptaków rój do gniazd powróci znów
[stęskniony,
a gdy z południa wiatr doniesie ciepły wiew,
zabawy, tany wnet napełnią nasze strony.

Już nie przeoczę wielkiej świata zmiany!
Ilem to wiosen musiał tak przesiedzieć
wśród starych ulic lżony, wyszydzany;
promienne bogi, raczcie o tem wiedzieć,
żem wchłonąć w siebie rad słoneczny czar
[wiośniany!

HERMAN CLAUDIUS

SPÓJNIA

Łączności bratniej żywa siła
miljonem ogniw świat spoiła.

Z odwiecznych krzywd wytrysnął prąd,
co miljon ogniw spoił w rząd.

Lecz szał, co wzniecił krwawy bój,
na miazgę strzaskał ogniw rój.
  Hej, kowalu, żywo, żywo,
  za ogniwem kuj ogniwo!

Uderz w kowadło: niech twój młot
nowy, potężny weźmie lot!
  Hej, kowalu, żywo, żywo,
  za ogniwem kuj ogniwo!

By nowa spójnia świat związała
nierozerwalna, wiecznotrwała!
  Hej, kowalu, żywo, żywo,
  za ogniwem kuj ogniwo!

KAROL LIEBKNECHT

PIEŚNI WICHROWE

I.

Druhu mój, wichrze,
Słyszę Twój zew!
Jeszcze nie mogę
Pomknąć w zawody,
Jeszczem spętany!
Alem, o wichrze,
Jak Ty, żywiołem;
I przyjdzie dzień,
Gdy zerwę się z pęt,
Gdy znów zahuczę
Gdy się rozdalę,
Skroś ziemię pomknę,
Lądy ogarnę,
Wedrę się w ludzkie
Mózgi i serca,
Jak Ty, o wichrze!

II.

Poświst wichru harmonijną jest mi gędźbą
[słodkobrzmiącą,
Gdy w szalonym swym rozpędzie
Wali w mury, w domy bije,
Mknie przez wąskich ulic ciżbę,
Gdy skowycząc, rycząc, wyjąc, chce rozsadzić
[ulic cieśnię,
Gdy w rozwianym pędzi płaszczu,
Uderzając o kamienie,
Gdy wściekłością ogarnięty,
Wstrząsa kraty, szarpie pręty,
Jakby zerwać je gotowy!
Gdy tchem zimnym skroś przejmując,
Gdy gorącą falą wionąc,
Poprzez szpary, poprzez szyby
Skórę muśnie mi w przelocie,
Krew rozpali mi w dotknięciu.

— Chętnie słyszę Twój zew,
Zdroju przemożnych sił.
Milszybyś dla mnie był,
Chętniejbym słuch Ci dał,
Żywiejbym czuł Twój wiew,
Gdybyś mi posłem był
Innych sił, ludu sił.

Wichrze, wyjący w noc,
Nigdy Twa dzika moc
Moich nie zerwie pęt!
Innych sił, ludu sił
Czekam stęskniony wciąż!
Do nich wytężam wzrok,
Pędzę na zwiady słuch!...
Kiedyż dasz o nich wieść?
Kiedyż wichrowy szum
Będzie mi gońcem walk
O wolność, o nowy ład?

BUDDO

NA BACZNOŚĆ!

Oto dziecię zwiastowane,
dziecię ludu—bojownika,
w mękach, w bólu światu dane
w dniach niechybnych października!
— Nie w dniach ciszy, lecz w dniach boju,
pośród gwarnych ulic tłoku,
pośród tłumu, co w spokoju
długo czaił się do skoku.

Spełniło się zwiastowanie,
dojrzał już owoc żywota,
ale wrogów zawołanie:
— zemsty, zemsty! — bije w wrota.
Zemsty! wołają wrogi.
Kto wie, jak długo żyć będzie?
Gdzieś w dali skrzypią ostrogi...
Cóż to? spiskują wszędzie!

Klną, zamachy knują skrycie
pomazańcy z bożej łaski:

idzie wszak o śmierć i życie,
nie o fraszki. nie igraszki!
Hej, do broni, ludu dzieci!
Wrogom naszym na stracenie!
Tej obmierzłej kupy śmieci
już nie zniesie przyrodzenie!

HEJŻE PIEŚNI...

Hejże pieśni, hejże nasza,
w świat się potocz, wszędy brzmij!
Niech cię pędzą, niech cię straszą —
wyzwól się i pęty rwij!
    Chmury rozpędź i wichrowe
    nawałnice mężnie znieś.
    Wolna w śpiewie, wolna w słowie,
    prawo swe przebojem weź!

ALEKSY GASTIEW

KOCHAM...

Kocham ja syreny — statków piękny głos —
Rankiem lekki i wesoły jest ich śpiew,
W noce tęskny i rozpaczny bólu zew.
Kocham wieczny pod pokładem życia gwar,
To ponury, jak bagnisko, to, jak bunt
niespokojny, to hulaszczy, wściekły żar.
Kocham komin, jego chmurny, tęskny sen
o przyszłości i wpatrzenie w tajny los —
i wsłuchanie smutku pełne w walki głos, —
Cały statek wytężony wiecznie w dal,
wypełniony przez sterników pieśni jęk,
omamiony przez pieszczoty zdradne fal...
Lecz najbardziej kocham ja sygnałów baśń —
ich samotny opór burzom, cudną jaśń,
co widoczna od najdalszych brzegów hen...

— Och! powstanie nawałnica dzika wód —
my umrzemy, zgniecie nędza, zdławi głód,
i syreny nasze zmilkną, jako wprzód...
Zamrze pokład i zagrzebie buntu żar...

Ster się ugnie, znów zwycięży stara moc...
Zginie statek zatopiony w czarną noc...

— Lecz sygnałów naszych ognie walczyć będą
dalej, wciąż,
Będą gasnąć, gdy ostatni zginie mąż,
umierając — jak ognisty błyskać wąż...
— Wszystko zetrzeć można — zmienić światło
[w cień,
można w głębi nawet zniszczyć statku ślad...
Lecz wspominać będą ludzie w noc i dzień,
że przemocy odpowiedział ogni śmiech,
że się jednak nie dał burzy sygnał zgnieść
i przed śmiercią, jak płomienna błysnął wieść!

DUMKA ROBOTNICY

Dziś w porze porannej chodziłam po polu,
czekałam syreny ukryta w kąkolu,
Cudne kwiatki rwałam na łączkach nadwodnych,
szczęście znaleźć chciałam na ścieżynkach
[zwodnych...
Roiłam, dumałam, pytałam u zorzy,
czy nie lepiej wrócić do rzuconych pól?
Lekkie sny, wesele wróciłyby może,

dawny sen o szczęściu, co wyklucza ból...
Próżno! Wszystkie przejścia, drogi — zapomniane;
stary dom już spłonął, zawalił się, padł;
zasypany strumyk, wyschły kwietne łany, —
sen mój młody, sen tęczowy w życiu zbladł.
— Zamigotał, krzyknął, zawołał wabiąco
buczek do roboty przez poranku czar:
— Powstań, idź i pracuj sprawnie i gorąco:
ty i warsztat—wolni od zdradliwych mar...
Rzuć daremne smutki, nie patrz z żalem szarym
w głąb odwiecznych baśni, stłum ich jęk6w zew,
ku nadziejom nowym biegnij z nowym żarem,
wsłuchaj się w maszyny wieloznaczny śpiew...
Ustrój swe maszyny w kwiaty, i marzenia
wczaruj w nie: poczują piękno, pieszczot rój...
Rozpal w sercu płomień odważnego chcenia
i Czerwony Sztandar wznieś nad warsztat swój!

POKOCHAŁEM...

Gwar pokochałem żelazny, co w dzwony
bije tryumfem stali i kamienia...
Maszyn chór buntem ogniowym spieniony,
niespokojnego zawsze pełny wrzenia...

Wichry potężne, — morza lin stalowych
śród kół i walców pokochałem wieści,
grzmotów odgłosy, rytmów metalowych
baśnie bezsłowne, chmurne opowieści...

Lecz równie kocham ciszę wytężoną,
wolę hartowną, do boju gotową,
fabrykę w ruchu, tętniącą miarowo,
całą fabrykę moją ulubioną.